TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK ›GŁOSU NARODU‹

Rok III — **Kraków, niedziela, dnia 7 sierpnia 1938 r.** — **Nr 32**

Ulewicz Tadeusz

Gabriele D'Annunzio — poeta życia

Początek roku 1938, a według ery faszystowskiej roku 16. od „rewolucji" przyniósł śmierć człowieka, który był dla Włochów jak gdyby żyjącym pomnikiem przeszłości, świadectwem dokonanych czynów i spełnionych marzeń, herosem narodowym i przedmiotem ogólnego poważania, choć odsuniętym w ostatnich latach od rwącego strumienia życia, samotnikiem z nad jeziora Garda; przyniósł zgon Gabriela D'Annunzio. Zmarł człowiek, którego nazwisko obiegło dwukrotnie obie półkule naszego globu, raz jako poety, drugi raz jako żołnierza i dyktatora: zmarł ktoś, kto własne życie układał z tak różnokolorowych i barwnych kamyczków, z jakich składają się lśniące mozaiki i ktoś, kto w księdze własnego żywota pisał nie tylko natchnionym piórem, ale i taśmą stalowych kul karabinu maszynowego.

W życiu i twórczości Gabriela D'Annunzio nie można oddzielić poety od żołnierza przybierającego nieraz (zwłaszcza w czasach młodości) postać lwa salonowego, gdyż te dwie osoby tak się w nim z sobą ściśle łączą i tak wzajemnie przenikają, że, mimo ich kontrastowej i diametralnie różnej sylwetki, trzeba je omawiać i opisywać wspólnie. D'Annunzio przybierał najrozmaitsze postaci, przeszedł w ciągu swego życia szereg najrozmaitszych wcieleń twórczych, zmieniał swoją podstawę do świata i jego spraw tak często i nagle, że zasługuje w całym tego słowa znaczeniu na nazwę poety życia, jako artysta tak zmienny i tak zawsze różny jak ono samo. Dlatego i ewolucja jaką przeszedł jest niezwykle wyraźna, zmiany jakim ulegał bardzo gwałtowne, dlatego też częste u D'Annunzia nawroty dawnych upodobań, powrót do tych samych, a w każdym razie podobnych rzeczy.

Urodził się w Pescarze (w Abruzzach) jako syn kupca w r. 1863, a więc dopiero co po dokonanym Risorgimento jedności politycznej włoskiej. Jako chłopiec studiuje w college Cigognini w Prato, nie odznaczając się zresztą zbyt wielką pilnością. Mając lat 16 wydaje pierwszy zbiorek poezji zatytułowany "Primo Vere" (r. 1879) przyjęty entuzjastycznie, słusznie czy niesłusznie, przez krytyków i zwierzchników. Wpływy i pieczęć naturalnie Carducciego, dyktatora artystycznego młodego pokolenia. Rok 1881 zastaje go w Rzymie, gdzie się dla poety zaczyna "vita nuova" w tej całej Bohème literacko-artystyczno-hulaszczej, w której młody, świeżo na poetę pasowany D'Annunzio czuł się jak ryba w wodzie. Rzym, to już druga faza, drugi okres ewolucji artysty, który z dziecinnego jeszcze, pod wielu względami nieskrystalizowanego należycie człowieka, przedzierzgnął się tu w salonowca, w swobodnego i pełnego zaufania we własne siły, pewności siebie i tupetu, młodego „obiecującego" poetę. D'Annunzio dostawszy się do Rzymu z odsunięty nieco od spraw publicznych, prowincji, zanurzył się cały w wielkomiej. hałasie i zgiełku, w gorączkowym tempie życia i biegł równolegle do jego nerwowego i ogłuszającego nurtu. Współpracuje z pismami: „Tribuna", „Cronaca bizantina" i in., a poza tym znajduje czas na twórczość artystyczną, pracę naukową, zabawy i miłość. Znacznie więcej niż poprzedni rozsławił go zbiór „Canto Novo" (r. 1882) jako zbiór samodzielny i bez porównania oryginalniejszy niż wszystko co dotychczas napisał.

KARIERA LITERACKA, POLITYCZNA I WOJSKOWA.

W ogóle następuje teraz wielce urozmaicony i aktywny okres jego życia. D'Annunzio w przeciągu kilku lat pisze bardzo wiele najrozmaitszych utworów, dużo podróżuje (Włochy, Grecja, Francja), żeni się z księżniczką Gallese, „wkracza do literatury, jak się ktoś wyraża, przez kilka bram naraz", nie wystarcza mu już bowiem złota brama poezji, ale szuka sobie także innych wejść, nad którymi błyszczą napisy: dramat, powieść, nowela. Tytuły najrozmaitszych tomików i tomów jego książek sypią się jak z rogu obfitości, czasem po 3, a nawet 4 rocznie (r. 1892). Do ważniejszych należą: „L'Isotteo e la Chimera", „Elegie Romane", „Odi Navali", „Intermezzo di rime". „Poema Paradisiaco", oraz wspaniałe hymny na cześć żywiołów: „Laudi del Cielo, del Mare, della Terra, e degli Eroi", a dalej cały szereg powieści oraz tragedii. To dwie strony jego ówczesnej działalności: literacka i towarzysko-turystyczna, ale oprócz tego była jeszcze trzecia, a to krótka lecz ważna jego aktywność polityczna. Ta ostatnia jest ważna nie przez rolę jaką D'Annunzio odegrał, gdyż wielkim polityk iem nie był, ale przez to, że przygotowała jego późniejszą działalność w czasie wojny i że dała mu dużo doświadczenia i znajomości psychiki tłumu. D'Annunzio rzucił się w nią jak poeta, gorączkowo choć bezplanowo. W jednym z okręgów wyborczych powiada: *„Trzeba, aby świat się przekonał, że nadaję się do wszystkiego"*. Chodziło mu więc raczej o wyładowanie energii, o rekord, niż o jakieś istotne konsekwentne przeprowadzenie pewnych postulatów. Wskazuje na to fakt, że kiedy w r. 1897 zostaje deputowanym z położonej nad morzem Ortony, to cała jego działalność polityczna była dość mało efektowna. Dopiero w roku 1900, na kilka miesięcy przed nowymi wyborami zdarzył się wypadek, który odbił się głośnym echem w całej prasie ówczesnej: było nim przejście D'Annunzia ze skrajnej prawicy na skrajną lewicę, gdzie go entuzjastycznie przyjęto, witając „nawróconego burżuja". Mimo tego przy następnych wyborach D'Annunzio padł. Wtedy też kończą się na ogół jego socjalistyczne sympatie. Że kończą się nie tylko w teorii, ale i w życiu, świadczy o tym fakt, że żyjący wystawnie poeta musi w roku 1910 swoją luksusową willę (w Settignano) z dużymi zbiorami zabytków sztuki i t. p. pozostawić na pastwę wierzycieli, gdyż przed długami chroni się do Francji.

Wojna, a właściwie dopiero wiosna r. 1915, rozpoczyna nowy okres w życiu poety; okres, który można nazwać bohaterskim, gdyż nie tylko działalność polityczna, ale nawet lutnia artysty jest nastrojona na nutę wojenną. Wystąpienie D'Annunzia, to koniec neutralności Włoch, jego mowa w Quarto rozpoczyna nowy okres w historii Italii, przechyla szalę dziejów na stronę wojny. D'Annunzio wstępuje do wojska jako ochotnik, walczy jako lotnik w pierwszej linii, choć przełożeni chcieli go oszczędzać. Już jednak w kilka miesięcy po tym, bo 16 stycznia 1916 r. uległ tragicznemu wypadkowi. Oto w chwili przymusowego lądowania, gdy aparat (hydroplan) uderzył zbyt silnie o powierzchnię morza, poeta uderzył głową o przód karabinu maszynowego i uszkodził sobie oko. Nie leczył się należycie i oko stracił. Nie zakończyło to jednak jego działalności wojskowej. Nie mogąc walczyć pod obłokami, walczy na ziemi, jak jednooki cyklop. Że się nie oszczędza, najlepiej tego dowodzi fakt, że Austriacy wyznaczyli nagrodę 20 tys. koron na jego głowę. W r. 1918 kieruje lotem na Wiedeń i wznieca straszliwą panikę wśród jego mieszkańców rozrzucając masy ulotek. Wielokrotnie odznaczony: 3 awanse za waleczność, jeden medal złoty, jeden srebrny, 5 brązowych, oto plon tych kilku lat jego soldateski. Skończyła się wojna, ale D'Annunzio broni jeszcze nie złożył. W r. 1919 na czele 287 „arditi", zajmuje Fiume (Rjekę) i jest jej dyktatorem przez 15 miesięcy, co sprawiło, że jej nie włączono w obszar powstającej Jugosławii.

Po wojnie D'Annunzio zamilkł. Osiada w willi w Cargnacco nad jeziorem Garda, gdzie spędza ostatnich kilkanaście lat swego żywota w ciszy, zapatrzony w jasne dni swojej młodości, zasłuchany w echa armatnich wystrzałów i zakochany w tej tak mu zawsze bliskiej i drogiej helleńsko-rzymskiej starożytności.

POETA.

Jako artysta dał D'Annunzio w każdym gatunku literackim, który uprawiał rzeczy wielkie i piękne, choć nie zawsze równie szlachetne i pożyteczne. Najgłośniejsza jest jego działalność powieściopisarsko-nowelistyczna oraz poetycka.

Jako powieściopisarz i nowelista żongluje D'Annunzio między naturalizmem a weryzmem (w guście Giuseppe Vergi). Snuje opowieść o człowieku zbliżając się to do Maupassanta, to do Flauberta. Niekiedy sensualizm jego przybiera jakiś głęboki, smutny odcień (nowela p. t. „La vergine Orsola"), czasem jednakowoż tendencja jest dość pozioma, a można spotkać także braki w konstrukcji psychicznej. Wynagradza to jednak sowicie jego język wspaniały, skrzący się nieskończoną gamą kolorów, tysiącami wyrażeń i okresów, przebogatą, zawsze inną i nową choć równie lśniącą i kunsztowną szatą słowną, przepyszną artystyczną ekspresją. I tutaj, w tym języku, w tym słowie artysty tkwi główna zaleta prozy D'Annunzia. Trudno bowiem znaleźć w jego powieściach inne jeszcze jakieś powszechne dla większej ilości utworów zalety: mało tam na ogół uczucia, mało szlachetności, mało nawet miłości dla człowieka; wszystko znikło pod tą wspaniałą i niezrównaną szatą językową, która stanowi szczyt włoszczyzny.

W poezji natomiast D'Annunzio należy do trójcy tych pisarzy włoskich, którzy przerośli wszystkich artystów po roku 1860; stoi on na równi obok Giosuè Carducciego (um. 1907) i Jana Pascolego († 1912). I chociaż „nie dostaje mu kruszcu ideowego i płomienia ducha pierwszego z tych poetów, zaś pajęczej przędzy odczuwań i zamyślonej głębi drugiego", to jednak dzięki blaskowi jego słowa i wspaniałemu patosowi artystycznemu (głównie utwory patriotyczne) oraz świetnym efektom werbalnym i stylowym należy mu się słusznie obok nich trzecie, równorzędne miejsce.

Anna Turowska

MAK W SŁOŃCU

(Z cyklu „Lato")

Rubinem krwi młodej
I ogniem, drżysz w rozkwicie,
Ze słońcem w zawody —
Słońce to życie!

Jesteś sercem pola —
Płomieniem w błękicie —
Miłuje cię rola......
Miłość to życie!

Ślesz czar zapomnienia,
Rozkoszne serc bicie,
Stroisz snu marzenia —
Marzenie to życie!

Przynosisz śmierć lekką,
W zapomnień wszechbycie —
Lśniąc w łzie pod powieką —
Bo śmierć to też życie.

D'Annunzio zawsze był entuzjastą słowa; woła w jednym ze swoich sonetów (Espodo, son. 4):

O poeto! Słowo jest boskim,
W czystej Piękności niebo złożyło
Całą naszą radość; Wiersz jest wszystkim.

W stosunku do miasta, w którym rozpoczął swą działalność na szerszą skalę, a więc Rzymu, zajął D'Annunzio postawę miłośnika, której najlepszym wyrazem są „Elegie Romane" (r. 1892). Rzym kochał nie tylko jako stolicę cesarstwa starożytności, ale i jako Rzym średniowieczny, Rzym Odrodzenia i Papiestwa, Rzym kościołów, ludzi i życia. Co do tego jednak Rzymu kościelnego zajmuje poeta nieraz postawę całkowicie pogańską. Np. w wierszu p. tyt. „In San Pietro" daje krótki i bogaty opis wnętrza bazyliki... i koniec: dostrzega blask marmurów i metalów, skrzenie kolumn, bronzów, złotych lamp, załamywanie się promieni słońca: Uderza go cisza panująca w bazylice i głęboki spokój, ale wewnętrznej jakiejś tkwiącej w tym wszystkim treści, celu tego wszystkiego, zdaje się zupełnie nie dostrzegać. Jego wiersze są niezwykle kunsztownie wykończone, pisane zimnym przeważnie i spokojnym, antycznym, klasycznym metrum, ale bez uczucia.

Spowiedzią, o ile do niej w ogóle był zdolny D'Annunzio, jest jego najpiękniejszy może, jaki kiedykolwiek napisał, zbiór wierszy p. t. „Poema Paradisiaco" (lata 1891—93). W inne tutaj uderza poeta struny niż dotychczas, zbliża się więcej do ducha poezji Pascolego i rezygnuje nieraz (co się u niego w ogóle bardzo rzadko zdarza) z bogactwa wyrażeń na korzyść uczucia i wrażenia. Przewija się przez te wiersze jakiś impresjonistyczny czasem ekspresjonistyczny żal, smutek, tęsknota (n. p. wiersze „Consolazione"), wspomnienie matki, („O Rus", czy „O Giovinezza" i in.), czasem zamyślenie smutno-poważne lub nastrojowe („Alla nutrice"), brzmią tutaj echa nieznane na ogół w poezji D'Annunzia, tym cenniejsze, że wnoszą w nią wartości nowe. I jako przykład rzadkiego artyzmu, na jaki w tym zakresie umie się zdobyć poeta, warto może zacytować jeden sonet, p. t. „O Giovinezza", który należy do najpiękniejszych sonetów XIX wieku w literaturze włoskiej (cytuję go w moim dość swobodnym, przekładzie):

O młodości, niestety, twa czarowna wstęga
Z mego czoła powoli lecz stale opada,
Czuję, że mnie już gniecie zmora śmierci blada,
Żem zgarbiony i że się kończy ma włóczęga.

Ale dusza do nowej służby się zaprzęga,
Skromna, chociaż gorąca, świat spokojnie bada,
Umie walczyć i czekać, pod ciosem nie pada,
Przebacza i rozumie — w sercu jej potęga!

Twoje sny ulatują zwolna o Młodości,
Milczenie wiek roztacza dokoła mej duszy,
Cichną kipiące w sercu namiętności...

I słyszę inne dźwięki wśród rosnącej głuszy
I widzę, że łzy błyszczą w oczach moich braci,
Słyszę ich jęk, którym za znój im życie płaci.

Zupełnie inny nastrój i inne typowo dannunziańskie echa brzmią w czterech księgach „Pochwał" („Laudi") będących dytyrambami na cześć przyrody, bujnego życia zwierząt i ludzi. Najlepsza jest księga III p. t. „Alcion"; księga czwarta zawiera akcenty patriotyczne. Dzieło to, wspaniały pomnik poezji, napisane jest w formie pompatycznej, klasycznej. Autor głosi w nim „laus vitae", pochwałę zycia i natury, a co za tym idzie i tego, komu się zdaje, że naturą rządzi — człowiek. Chwali i wielbi dionizyjską radość i barwność życia. Zdobywa się czasem na refleksję lub spokojny rzut oka na rzeczywistość, ale przeważnie wznosi hymny pochwalne wielbiąc po pogańsku młodość, siłę, pęd do użycia zdolności przyrodzonych, a wreszcie do panowania nad światem... Między uciechą cielesną a spotęgowaniem sił ducha nie ma zasadniczej różnicy. Natura jest piękna, gdy jest silna i czynna; dążenie do użycia, swobody i wyładowania energii, staje się ideałem życia kulturalnego. Ten stosunek do życia i świata tkwił w D'Annunziu zawsze choć dopiero w tym dziele osiągnął swój punkt szczytowy. Woła oto w jednym miejscu: „Przyrodo! Matko moja wieczna", a gdzie indziej: „Więcej racji jest w moim krzepkim ciele, niż w całej nauce".

Powtarza tu naturalnie znane słowa Nietschego: „es ist mehr Vernuft in deinem Leibę, als in deiner besten Weissheit!" I ten ton jakiegoś beztroskiego epikureizmu dominuje w tej książce, chociaż pod nim lub poza nim brzmi czasem jakaś inna nuta, nuta zamyślenia i refleksji (np. cykl sonetów p. t. „Le città del silenzio"). Refleksja jednak dannunziańska nie odgrywa roli samodzielnej; przeważnie posiada pewną, ściśle określoną funkcję, którą spełnia w ramach utworu. Oto przykład takiej refleksji, dostosowanej duchem do całości, wyjętej z dytyrambu zawartego w III księdze:

„Natura i Sztuka to dwóczołowy bóg;
Prowadzą one twój harmonijny krok
Przez wszyskie pola czystej ziemi".

Nie przesadzę może, jeśli powiem, że D'Annunzio był w poezji, a często w życiu, prawdziwym zabłąkanym w XIX i XX wieku, poganinem. Pogański był bardzo często jego stosunek do życia i świata i jego żywiołowe umiłowanie piękna, głównie zewnętrznego, fizycznego, rzadziej zaś piękna duszy. Z starożytnej „kalokagathii" przemawiała do niego tylko część pierwsza, bo na drugą zwracał zawsze mniejszą uwagę. Kochał się w klasycznym pięknie formy dla formy, w klasycznym metrum i stylu, i przechodził przez życie literackie jak dumny pewny siebie Rzymianin, którego grecka kultura przerobiła na tyle, że stał się znawcą i bywalcem we wszystkich rodzajach literackich, ale którego nie zdołała oduczyć pogardy dla innych mniej pewnych siebie, szarych ludzi. Ta pogańska jakaś miłość życia i świata, pogański stosunek do jego spraw, oto rys zasadniczy olbrzymiej większości jego poezji. I nic dziwnego, że w takim otoczeniu, wśród tak klasycznego towarzystwa giną wiersze nie pasujące do niego duchem, rytmem i myślą, albo, że są pomimo impresjonistycznych pozorów bardzo często takimi samymi utworami pogańskimi jak i poprzednie n. p. śliczny wiersz liryczny p. t. „La pioggia nel pineto", lub „Undulna". Przeważają jednak w poezji D'Annunzia utwory klasyczne, tak klasyczne, że sprawiają wrażenie rzeczy pisanych po łacinie lub po grecku, a na włoszczyznę tylko przetłumaczonych jakimś cudownie pięknym, trochę barokowym językiem. I dlatego czytelnikowi wierszy D'Annunzia towarzyszy zawsze jakieś mgliste, ale uparcie powracające przekonanie, że to był człowiek spóźniony, spóźniony o 2000 lub 1800 lat, że powinien był żyć w czasach Augusta czy Hadriana, a fakt, że Opatrzność umieściła go pomiędzy XIX a XX wiekiem o niczym świadczyć nie może, ponieważ był to prawdziwy Rzymianin z ducha i czynu, chociaż Włoch z urodzenia i nazwiska. Pisał po włosku, ale działał, walczył, a w młodości i bawił się lub hulał po rzymsku. Przez całe życie był właściwie zabłąkanym w nowoczesność, optymatą z dumnej „gentis togatae" i odpowiednio do tego w sposób pogański żyjącym i tworzącym (świadczy o tym spora ilość jego książek umieszczonych na indeksie kościelnym). Nie znał więc w swojej poezji „plebsu", odwracał się od niego, żył sam, w swym antycznym świecie, w swej helleńskiej sztuce i rzymskiej potędze, pewności siebie i poczuciu wartości własnego „ja", w jakiejś wspaniałej splendid isolation, której ostatnim aktem było kilka lat spędzonych nad jeziorem Garda. Nawet wtedy, gdy się zbliżał do ludzi, gdy walczył z nimi lub za nich, nie usiłował usunąć tego dystansu, jaki między nim a zwykłymi śmiertelnikami się wytworzył. I jeżeli dziwiono się, gdy spalono i złożono w urnie zwłoki Pirandella, to nie dziwionoby się temu, gdyby się to stało z ziemską powłoką D'Annunzia, bo byłoby to klasyczne zakończenie klasycznego dramatu, byłaby to kropka nad „i", byłoby to rzymskie, pogańskie pochowanie jeśli nie ostatniego, to w każdym razie jednego z ostatnich epikurejskich pogańskich Rzymian epoki Cesarstwa.

„NADCZŁOWIEK".

A teraz możemy słusznie zapytać jaki jest bilans pracy D'Annunzia, co ostatecznie poza książkami i czynem wojennym D'Annunzio po sobie zostawił, kim jest dzisiaj dla nas i czym wreszcie mierzyć mamy jego znaczenie dla kultury i literatury powszechnej?

Odpowiedź na to pytanie może nam dać nie tylko jego twórczość artystyczna, ale też i to może w większym nawet stopniu — jego życie, w wysokim stopniu artystyczne. Artystą był on bowiem wszędzie i zawsze, tak w Bohèmie rzymskiej jak i w walce lotniczej, tak w parlamencie jak i w miłości, tak przy zdobywaniu Fiume, jak i w swojej pustelni nad jeziorem Garda. I dlatego znaczenie D'Annunzia dla literatury i sztuki stoi w stosunku proporcjonalnym do jego wielkości jako artysty, człowieka i bohatera. Człowiek to był godzący konieczność ewolucji z umiłowaniem przeszłości, bo chociaż korzeniami i istotą swej twórczości artystycznej tkwił w epoce helleńskiej kultury i helleńskiego ducha zaprawionego rzymskim pogaństwem i pogonią za hedonizmem, to jednak czuł potrzebę dążenia z postępem czasu i kultury. Był „Übermenschen" w całym tego słowa znaczeniu, ale jednocześnie był naturalistą, a czasem nawet realistą (powieść, nowela), bo istniała w nim jakaś druga, ludzka może nie artystyczna ale ludzka chęć wejścia w świat, życie i walkę. Może wynikała ona właśnie z tego pogańskiego „nadczłowieczeństwa", z tego pozowania na półboga, dla którego „ja" jest wszystkim, ale zarazem przez swój wyłącznie ziemski cel i ziemską orientację zwracającego uwagę i myśl tylko na ciało. I stąd zapewne godzenie się w jego artystycznej duszy tych dwóch tak sprzecznych i pozornie wykluczających się rzeczy, jak naturalizm i hasło sztuki dla sztuki, jak humanizm i nietzscheanizm.jak zlanie się dwu różnych, jak dwie rasy ludzkie, dusz: Zaratustry i naturalisty-wojownika.

——oOo——

St. Nowakówna

Spotkanie z Antusickiem

(Obrazek ze wsi podkrakowskiej)

Jasiek kosił. Siarczyście kosił. Nikt by nie dał za niego trzech groszy; taki chudy — chuchro jakieś — a harcuje z kosą, jak kozok — mruczała przysadzista, krzepka w ramionach Stefka, odbierająca zwaliste i ciężkie garście żyta.

— Albo Jasiek czarodziej, albom ja zesłabła, dawna, przodownica na „pańskim".

Jasiek machał kosiskiem i podcinał u nasady dumne kłosy, — zwalał je pokonane i pokotem kładł obok siebie, szeleszczące skargą osypującego się ziarna. Stefka zwijająca się raźno, zgarniała je sprawnie, i poskładane równo przenosiła na ścierń.

Lipcowy żar kąpał pola blaskiem słońca, i ozdabiał twarze ludzi i ciała kroplami potu.

Pokładały się garście żyta, jedna obok drugiej, niosły zapach chleba, a ścierń rosła i rosła.

Aż — Jasiek przystanął — podniósł osełkę, umaczał ją w naczyńku z wodą i do uszu odpoczywającej Stefki dobiegła poprzez kąpiące się w słońcu ściernisko, przez garście suszącego się żyta, osobliwa melodia klepania kosy i niosła się dalej za miedze, za sąsiednie niwy, do szumiącego w oddali lasu Dąbrówki.

Od przeciwnej strony, od zadrzewionego parowu szła kobiecina, w barwnej chustce na głowie, niosąca w ręku koszyczek.

— Kurzaska niosą podobiadek. — Ucieszyła się Stefka. I oblizała cienkie wargi na wspomnienie smakołyków.

— Co tyz niesą? — medytowała — kiełbase, cy „lewerke?"

Jasiek przystanął, przerwał klepanie kosy.

Kurzaska śli ku nim. Śli statecnie i godnie obnosząc powagę swojego dwukrotnego gdowieństwa, honor wójciny po ostatnim mężu nieboscyku Antusicku i bogactwo dziesięciomorgowej gospodyni.

Śli sobie. Kołysali biodrami i kolebali koszyczkiem z podobiadkiem.

— Cie... cie... Zadziwili się przystanąwszy na miedzy. Aleście zharnasili pola tyli kawoł; ady odpocnijcie se, siednijcie i jedzcie — zapraszała najemników, wyjmując z koszyka specjały.

Ku wielkiemu i radosnemu zdziwieniu Stefki grube pajdy chleba przełożone były ani kiełbasą, ani „lewerką", lecz specjałem nad specjałami — pachnącym klopsem.

Jasiek też się uradował, bo z boku koszyczka ciekawie i wstydliwie wychylała na świat łebka buteleczka zakrapianej sokiem porzeczkowym. — I podczas gdy oni zajadali smacznie i przepijali do siebie z jednego kieliszka, Kurzaska oglądali sobie swoje pole, swoje żytko. Podnosili w górę kłoski i dziwili się jego dorodności.

— Żytko moje grubaśne, obrodziłoś bujnie. Wyrosłoś śwarne, ale kto cię będzie w mendle składał, kto kopki policzy? Kto? Nie ma, nie ma mojego Antusicka, nie ma gospodarza. Lezy sobie na cmentarzyku. Ale przyjdzie on, przyjdzie policyć snopki, porachować mendle przyjdzie gospodarz z tamtego świata, przyjdzie...

— Oj, co jo bym dała, zebym cie mój Antosicku mogła roz jesce uwidzieć.

— Nie bluźnijcie, gospodyni; nie przeszkodzojcie nieboscykowi w wiecnym spocynku, bo jesce wos postrasy...

— E nie pleć głupi. Kaj by ci mnie tam Antusicek mioł strasyć. Lubioł ci on mnie, lubioł i nigdy ręki nie podniósł.

Była następna noc pachnąca lipowym kwieciem, ochładzana kołysaniem lekkiego wichru i migotająca na ziemi ognikami świętojańskich robaczków... i płonąca na niebie lampą księżyca i światełkami gwiazd... W mroku zanurzał się powoli cały świat. Ustawione już mendle żyta, drzewa w parowie i śpiąca Dąbrówka.

Wśród tej mgły po miedzy drogą wiodącą od cmentarza, szedł sobie kulawy dziadek. Taki bezdomny włóczęga, co zimą spał gdzie w zacisznej przygarnięty stajni, a latem po całodziennej żebraninie kładł się na spoczynek to na miękkiej miedzy, to pod śpiewającym mu leśnym drzewem.

Szedł sobie zwolna w stronę Dąbrówki i przystawał przy Kurzascynych mendlach, wygrzebując spośród kłosów co miękciejsze ziarno.

Kurzaska, skrzętna gospodyni nie mogła spać tej nocy. Zapomniała wieczorem porachować mendle na polu i postanowiła naprawić to niedbal-

Z pamiętników Ks. Sieniewicza (II)

Za wiarę i ojczyznę

Wspomniałem, że postanowiłem być z procesją u św. Józafata. W niedzielę, po jutrzni, zapowiedziałem, że po sumie pójdziemy gromadnie z chorągwiami do Białej złożyć cześć Świętemu. O 1 godz. wyruszyliśmy. Mężczyzn i kobiet było sporo. Kompanię prowadziłem w szatach kapłańskich. Po drodze śpiewaliśmy wiele pieśni po polsku. Gdyśmy wchodzili do miasta, odległego od Swór o 1½ mili, zaleciłem niosącym chorągwie, aby wyszli naprzód, okręcili je na drzewcach i pochylili do dołu, nad to, by odmawiali pacierz. Przeszliśmy rynek nie czyniąc żadnego hałasu. Weszliśmy na drogę wiodącą od Warszawy do Brześcia, przy której stała kamienica piętrowa, a dalej klasztor Bazylianów, gdzie w trumnie na ołtarzu bocznym leżało ciało Świętego. Doszedłszy do kamienicy, o której wspomniałem, zauważyłem, że okna były na pierwszym piętrze otwarte i major żandarmerii Łukaszewicz obserwował nas. Administrator unickiej parafii bialskiej wyszedł naprzeciw mnie z gromadką wiernych i powitał nas po polsku słowy: „Błogosławiony, który idzie w imię Pana", a jednak on tak niedawno układał z Wójcickim adres do księcia Konstantego w sprawie unii. Po tym powitaniu weszliśmy do cerkwi bazyliańskiej. Zaśpiewałem hymn „Pod Twoją obronę". Niedaleko znalazł się naczelnik straży ziemskiej Pilcow. Po modłach wierni rozeszli się, a ja odjechałem wózkiem, który po mnie przysłano.

Więzienie

Zbliżała się jesień. Pewnej nocy, kiedy przygotowywałem kazanie, jakie miałem wygłosić w Ciborze, usłyszałem głos żony: „Emil, wstawaj, bo są jacyś wojskowi". Naczelnik straży powiada do mnie: „Kazanie za was będzie mieć kto inny, a wy zabierajcie się z nami!" Pojechaliśmy. W Międzyrzeczu czekał na nas Klemenko, naczelnik z Janowa. W drodze nie rozmawialiśmy zrazu ze sobą, ale potem tak Klemenko przemówił: „Proszę nie mówić przy mnie „Niech będzie pochwalony...", bo ja dostałem od gubernatora „nosa". Przyrzekłem, że powitam znajomych kiwnięciem głowy. Przybyliśmy wreszcie do Siedlec. Ja byłem pod strażą. Wpada do sali, gdzie siedziałem, Szulgin, naczelnik komisji włościańskiej, który bawił u mnie w Sworach przez czas dłuższy i odzywa się do mnie z przekąsem: „Jak mi przyjemnie księdza tu widzieć!" Na to ja: „Myślałem, że Rosjanie są daleko uczciwsi. Podejmowałem Pana u siebie w domu serdecznie, a Pan cieszy się, że mnie zabrano od żony i dzieci i wiozą zapewne do więzienia". Skoczył jak piorunem porażony i więcej go nie widziałem. Nie rozmawiałem potem z nikim więcej i odwieziono mnie do więzienia.

Muszę powrócić do dawnego zdarzenia, bo ono wiąże się z chwilą obecną.

Raz w Warszawie powiedział mi naczelnik Michał Welinowicz, że każdy z księży unickich, przybyły do Warszawy, powinien się zgłosić w komisji spraw wewnętrznych panu Sidorskiemu, naczelnikowi biura do spraw diecezji chełmskiej. Na drugi dzień wybrałem się załatwić z meldunkiem. Wskazano mi biuro. Zapukawszy lekko w drzwi, wchodzę. Spostrzegłem tam ks. Eustachiewicza, który potem przyjął schizmę. Pan Sidorski zapytał mnie o nazwisko i prosił, abym usiadł. Wziął do ręki jakąś notatkę formy niezwykłej. Był to zeszyt bardzo długi a wąski z wielu rubrykami. Z początku widać nazwisko kapłana, co było dalej — nie wiem, ale uwaga końcowa zawierała znaki, określające charakter każdej jednostki z kapłanów. Powiada, czytając z notatki: „Ks. Sieniewicz, proboszcz..." A kiedy przeczytał wszystkie uprzednie rubryki, zastanawiał się długo nad ostatnią. Odgadłszy o co chodzi, rzekłem: „Są tam znaki dla każdej jednostki, ale wiem, że nikt z kapłanów gorszej marki ode mnie nie ma". Rzucił mi pytanie: „Czy zna ksiądz ks. Deodata Smoleńca?" Odparłem, że to człowiek nieoszacowanych cnót z każdego względu, ale władza rządowa odsunęła go od wszelkiego działania. Pozwolono mu mieszkać i zarządzać parafią Łupiennik, z warunkiem, że zostanie pod najściślejszym dozorem i z parafii oddalać się nie może. Powiada Sidorski: „Przedstawię księdza, księciu Czerkawskiemu". Na to ja: „Proszę mnie uwolnić od tego, bo to bezużyteczne, a ja się boję rzeczywiście, bo, jeżeli książę usunął z pokoju ks. biskupa Kalińskiego, to chyba ja wylecę przez okno". Popatrzył na mnie bez uniesienia i powiedział: „Jutro o godz. 10 ksiądz być tu musi..."

Nazajutrz Sidorski zaprowadził mnie do wielkiej sali, gdzie każdy stał pomimo, że było gdzie siedzieć. Stanąłem niedaleko wejścia. Sidorski wyszedł do drugiej sali i po chwili powrócił z papierami, a potem znowu opuścił salę. Po załatwieniu spraw z innymi wezwał mnie książę do siebie i oświadczył, że mam za małą parafię. Odrzekłem: „Serdecznie dziękuję, ale i w Sworach zaledwie pracy podołam, więc za łaskę dziękuję". Podał mi rękę i pożegnał mnie...

A teraz powracam do dalszego toku opowiadania.

W więzieniu (w Siedlcach) przebywam drugi miesiąc, a dyrektor Komisji Oświecenia Krzyżanowski zajrzał do mej celi i zapytał o zdrowie. Mówię, żem słaby. On na to: „Poślę po lekarza" i potem jakby do siebie: „Niech licho porwie takie prawosławie".

Zostałem nadal w więzieniu. Lekarz nie przychodził, nic mi wprawdzie nie dolegało, ale fantazja jakaś doszła do szczytu. Ze żoną widywałem się w sobotę wobec naczelnika wojennego, którym był oficer Kaliński. Wolno było mówić o gospodarstwie, i po 10 minutach wizyta kończyła się. Przyszła mi myśl, którą doprowadziłem do skutku, ale w następstwa fatalna z mej własnej przyczyny. Strażnik mający klucz od mej celi był

---

stwo. I poszła prosto do ledwo majaczących we mgle szeregów ustawionych kop.

Przyszła. Liczyła jedną po drugiej pękatą kopicę zboża, aż doszła do środka... i przerwała robotę nasłuchująca. Coś blisko we mgle, tuż przed nią, dyszało i poruszało snopkami i zwolna, pokazsłując, zbliżało się ku niej z tamtej strony od cmentarza.

— Jezusicku! Antusicek przyszedł i rachuje snopki — pomyślała i nagle pomimo łagodnego ciepła nocy stało się jej zimno, zdrętwiała... zlodowaciała.

— Antusicek idzie... O Jezu, jego dusycka! Uciekać, uciekać... krzyczała w niej przerażona myśl, ale stała, nie mogąc poruszyć ręką, ni nogą...

Szeroko otwartymi oczyma w przerażonej śmiertelnie twarzy spoglądała we mgłę i słuchała.

Kroki ciężkie zbliżały się ku niej nieubłaganie, kaszlanie to cichło, to wzmacniało się w natężeniu. I wreszcie naprzeciw niej stanęła postać czarna i pochylona, wyciągająca rękę do mendla.

— O rety, duch, — Antusicek — wrzasnęła rozbudzona z niemocy Kurzaska i poczęła uciekać, potykając się o mendle i krzycząc: — Antusicek — Antusicek.

— Nie Antusicek, nie, tylko Wincenty. Cego głupio babo uciekas i cego się drzes, biegło za nią wołanie dziada.

Kurzaska nie słyszeli tego wołania, tylko wyczerpani śmiertelnie wbiegli do izby, wołając:

— Antusicek mnie psestrzegoł, zebym nie chodziła po nocy. — zakończył mi opowiadanie Staszek.

Rozrywki umysłowe
Nr 32/123
pod kier. inż. H. Braumanowej
czł. Kl. Szar.

IV KONKURS ZADANIOWY (dokończ.)

ZAD. 16. — REBUS (5 PUNKTÓW).
uł. „**Andrus**" — Kraków.



ZAD. 17. — LOGOGRYF NA 30 LIPCA. (5 PUNKT.).
uł. „**Nerwus**" — czł. Kl. Szar.

Należy ułożyć 25 wyrazów siedmioliterowych o podanym niżej znaczeniu. Litery pierwsze i ostatnie czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) dawna broń palna, 2) miasto w Beocji, 3) niegdyś rezydencja książąt Mazowieckich, 4) prezydent U. S. A., 5) żona Anfiaroasa 6) termin sportowy, 7) jeden z twórców sceny hiszpańskiej, 8) napad (łac.). 9) pasmo gór w Radszputana (Indie Wsch.), 10) kwitek, rewers, 11) instrument muzyczny, 12) siarczek rtęciowy, 13) owady z rzędu słoników, 14) trunek, napój, 15) kompozytor polski wsp., 16) miejsce pokuty cesarza Henryka IV, 17) biblia mahometan, 18) kraina w Europie, 19) kierunek w teorii poznania rzeczywistości, 20) instrument muzyczny, 21) jedna z wysp Filipińskich, 22) powieściopisarz francuski (1817—1895), 23) szczep kurdyjski w Armenii wsp., 24) prosię, cielę, pozostawione na zimę do hodowania, 25) kompozytor włoski, nauczyciel Bethowena i Schuberta.

ZAD. 18. — SZARADKI (4 PUNKTY).
uł. „**Anerg**" — czł. Kl. Szar.

1.

Cztery - jedno pszczółka mała...
Rozdrażniona — ból zadaje.
Niebezpieczna również **cała**,
gdy na drodze człek jej staje.
Ty się pilnuj, miły człeku,
bo **trzy** żartów **z całą** nie ma,
i nie znajdziesz żadnych leków,
gdy ci **drugich** zada szelma.
Gdy ukąsi — człeka ciało
w plamy barwne się ukwieci
niby konia, co jest cały
maścią **raz - dwa i pół trzeci**.

2.

As szaradziarski, przezacny **Raz - trzeci**,
o całości, o której tu piszę,
piękna by złożył szaradę, boć przecie
asem i nie **dwa - trzecia** jego mowa,
lecz treścią bogata i w niej się słyszy
muzyka poezji, piękny szyk słowa.
Moje **pół dwa - trzecie** mniej są wymowne,
lecz w szczerą, dobrą intencję zasobne.

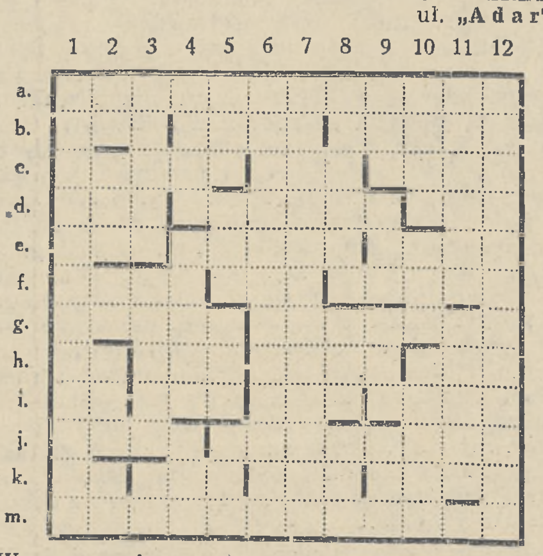
3.

Przez **wspak pierwsze i drugie**
widzę w ogrodzie:
raz - trzy ziemię gosposia,
by **całe** posiać.

4.

Ogromne są lasy **w Całych**. rozległe.
Opał tam nie jest **w pięć - pierwszej** wysokiej,
Czwór - trzecie przeto siedzieć w izbie ciepłej,
choć **dwa - pięć - pierwsze** się daje we znaki.

ZAD. 19. — KRZYŻÓWKA (5 PUNKTÓW).
uł. „**Adar**" — czł. Kl. Szar.



Wyrazy poziome: a) nazwa grecka egipskiego bożka Tota, b) moneta duńska — imię pisarza żydowskiego — nazwa państwa europ. w języku żyd. c) rodzaj kołnierza — przyprawa do potraw — kwiatostan wsp.) — d) „pan" w jęz. japońskim — utwór muzyczny na 7 głosów — jezioro w Amer. wsp. e) imię żeńsk. zdrobn. — imię męskie zdr. — „skąd" po łac. f) werniks chiński — płyn z owoców — trójca. g) papka, błoto — zamach zbrodniczy. H) mieszkanie pszczół — czynność wsp. — szata u star. Rzymian — kogut. I) nuta — dopływ Renu — zaimek wsp. — oznaczenie dnia, w którym się coś działo. J) napis na krzyżu — pokolenie — wykrzyknik. K) „Weź" w jęz. ludow. — po łac. „módl się" — rzeka w Rosji — uprawa pola wsp. M) kolejne wcielanie się duszy wsp.

Wyrazy pionowe: 1) ciało białkowate trujące, 2) nuta — pierwiastek — miara powierzchni — ryba wykrzyknik. 3) imię żeńskie — choroba — pytajnik wsp. 4) głośny szmer wsp. — opowiadanie zmyślone — po łac. „gniew". 5) „biedny" w obc. języku wsp. — jutrzenka — rzeka w Szwajcarii — prawy dopływ Wisły. 6) wyzyskujący. 7) nauka o budowie skorupy ziemskiej. 8) owad — „ja" po łac. — skorupiak. 9) sygnał telegr. o pomoc dla okrętów — zaginiony przodek bydła rogat. — przyimek — bożek grecki. 10) symbol władzy mon. — ćwiek metalowy — szyszak met. l. mn. 11) dobry ton, grzeczność — twórca, pisarz — samogłos. 12) urzędnik egzekwujący podatki.

KUPON Nr 32/123
ważny do 21. VIII. b. r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Piotr i Cezar

Walka między Kościołem a wszechwładzą państwa

W powojennej Europie rozgorzała na nowo odwieczna walka między uroszczeniami t. zw. „totalistów" do opanowania nawet spraw duchowych ludzkości, a powszechnym Kościołem Chrystusowym, zbudowanym na Opoce Piotrowej, któremu sam Zbawca Świata wyraźnie zlecił kierownictwo dusz.

Chcąc zrozumieć należycie wypadki, jakie rozgrywają się w dzisiejszej Rzeszy Niemieckiej, należy sięgnąć do źródeł historycznych. Korespondent rzymski londyńskiego tygodnika „The Tablet" (z dn. 23 lipca br.) w niezwykle znamiennym artykule na temat „Walka między Piotrem a Cezarem" (The struggle between Peter and Caesar) kreśli obraz tragicznych zmagań, mających symboliczne znaczenie, jakie w ciągu wieków wybuchały między Stolicą Apostolską a cesarstwem niemieckim, między „sacerdotium" a „regnum".

Już za panowania Henryka III. ściągnął na siebie niełaskę królewską znakomity biskup leodyjski Waso oświadczeniem, że jako biskup winien jest wprawdzie królowi wierność, lecz jednocześnie Papieżowi posłuszeństwo (Höfler. Deutsche Päpste. II. 29). Oświadczenie to, stanowiące **jakby tezę zasadniczą w stosunkach kleru katolickiego do władzy świeckiej,** było zapowiedzią późniejszych zatargów między koroną niemiecką a papiestwem.

Grzegorz VII nieustraszenie podjął walkę z opozycją cesarską i królewską i uwolnił na pewien czas Kościół od przewagi świeckiej, od nadużyć i od symonii. W tym dramatycznym starciu między Grzegorzem VII a Henrykiem IV, które doprowadziło do symbolicznej „Kanossy" — następca Apostołów z wyżyn Stolicy Piotrowej z całą powagą oznajmia światu:

> **„Bóg nadał mi władzę związywania i rozwiązywania na ziemi i w niebiesiech. Na mocy tej władzy więc, w imię Boga wszechmocnego, Ojca, Syna i Ducha św. zakazuję królowi Henrykowi, synowi cesarza Henryka, sprawować rządy Niemiec i Włoch, gdyż z pychą niesłychaną powstał on przeciw Kościołowi".**

Tym razem Cezar ugiął się przed Piotrem.. Zagrożony zewsząd niebezpieczeństwami, król wydał edykt do książąt cesarstwa i deklarację posłuszeństwa względem Papieża, w której oznajmia: „Idąc za radą swoich poddanych, obiecuję Stolicy Apostolskiej i tobie Papieżu Grzegorzu, posłuszeństwo i zadośćuczynienie za wszystko" (por. Villemain. Hist. de Gr. VII).

Konkordat wormacki (1122) przywraca Kościołowi w Niemczech swobodę wyborów na urzędy kościelne, a królom odbiera prawo nominacji. Był to fakt wielkiej doniosłości w niemieckich dziejach kościelnych.

Walka z papiestwem Fryderyka Barbarossy zakończyła się jeszcze gorszą dla przedstawiciela cezaryzmu klęską, niż były klęski Kanossy i Wormacji dla jego poprzedników. Pomimo jednak smutnych doświadczeń, przebytych przez Hohensztaufów w walce z papiestwem, walkę tę wznawia syn i następca Fryderyka I, Henryk VI, który uderzył na

PAŃSTWO KOŚCIELNE.

Fryderyk II również oddaje się intrygom samolubnej polityki i knowaniom przeciwko Stolicy Świętej, skutkiem czego traci wszystkie korzyści polityczne.

To symboliczne zmaganie między Kościołem a totalistycznymi tendencjami państwa, między Piotrem a Cezarem w dziejach Niemiec, przetrwało aż do czasów Bismarcka i stanowi genezę „kulturkampfu". Trzy czynniki skupiły się w tej walce przeciw Kościołowi: **ze strony rządu pruskiego kwestia wszechwładzy państwowej; ze strony liberalizmu i wolnomularstwa nienawiść do wszelkiej wiary pozytywnej; na koniec ze strony zachowawców protestanckich świeżo rozbudzony antagonizm wyznaniowy i nienawiść do „Rzymu".**

Podobnie, jak i w czasach dzisiejszych, gdy reżim nazich usiłuje podporządkować sobie władzę kościelną w Niemczech, wysuwano dla usprawiedliwienia tej walki t. zw. „rację stanu". Lecz z tej walki przeciw „politycznemu katolicyzmowi" wywiązała się — podobnie jak i dziś — walka przeciw samej zasadzie religii, przeciw samemu Kościołowi. Hitleryzm w walce z Kościołem nie jest zjawiskiem odosobnionym, stanowi dalszy ciąg odwiecznej walki cezaryzmu a papiestwem, walki, która zawsze kończyła się „Kanossą". — Mężowie stanu i władcy świeccy zawsze z tej walki wychodzili osłabieni a czasami zupełnie złamani. Nauczeni doświadczeniem, po wielu rozczarowaniach i klęskach wracali do zasady tolerancji religijnej i rozgraniczania władzy duchownej od władzy świeckiej.

Już w okresie poprzedniego „kulturkampfu" cesarz niemiecki Fryderyk obwieścił w reskrypcie (29 marca 1888) do kanclerza: „Chcę, aby zasada tolerancji religijnej znowu osłaniała wszystkich moich poddanych. Wszyscy przecież w czasie niebezpieczeństwa złożyli dowody zupełnego oddania się dla państwa".

W walce odwiecznej Piotra z Cezarem doświadczenie wykazuje to, co może posłużyć jako nauka i ostrzeżenie i dla dzisiejszych władców Niemiec, usiłujących podporządkować swym przemijającym doczesnym celom wieczną sprawę Kościoła. Nawet protestancki historyk Böhmer uznaje, że „wobec barbarzyństwa, jakie rządy świeckie niejednokrotnie okazywały w dążeniach swych do całkowitego zapanowania nad człowiekiem, z **zupełnie odmiennymi celami występował Kościół.** Chce on opanować dusze, ale nie z pobudek egoistycznych, lecz z miłości ku Stwórcy świata. Chce przemieniać dusze, ale bez gwałtu. Jego panowanie z dobrowolności bierze początek. W Kościele tylko znaleźć można rozsądek w kierowaniu sumieniem społecznym" (por. Böhmes. Regesta Imperii).

---

uczciwy. Prosiłem go, by mi kupił twardy ołóweczek i zatemperował go cienko. Wypełnił mą prośbę z warunkiem, że gó wrzucę do rury, którędy ciepło przechodzi. Okienko w celi podłużne i wąskie było pod powałą. Za łóżko służyły dwa wałki żelazne wprawione do muru, na których rozciągnięto płótno. Tafla żelazna wielkości arkusza papieru wprawiona w ścianę, przeznaczoną na stół do jedzenia i druga tafelka żelazna także osadzona w murze, by było gdzie usiąść w czasie podawania żywności. Z początku miałem wikt dobry, ale jadłem tylko łyżką, bo widelca i noża nie dawano. Miałem w książce do czytania kawałek papieru nie większy jak cal długości i szerokości. Na nim tak napisałem: „Żono! Niech kilkunastu parafian żąda dla mnie swobody". Papier ten skręciłem silnie w wałeczek wiedząc, że go od zniszczenia uchronię. W sobotę była znowu żona. Przed jej przybyciem włożyłem tę kartkę od ust. Przy powitaniu pokazałem, że nie mam nic w rękach, a przy pocałowaniu żony sprawiłem, że kartka z mych ust dostała się do jej ust. Po chwili opuściła żona celę. Przed odjazdem wstąpiła do apteki, gdzie wysuszono kartkę i przez lupę odczytano, o co proszę. I w kilka dni zjawili się parafianie u gubernatora w liczbie sześciu, prosząc, by mnie zwolnił. Odpowiedział na to, że proboszcz nie powróci, a jego miejsce zajmie inny. Kiedy jednak Grzegorz Gieryłło oświadczył, że pojadą do cesarza, gubernator kazał uwięzić go, ale gdy reszta domagała się też uwięzienia, rozkazał wszystkich z miasta wypędzić. I jak wiem, nałożono na nich jakąś kontrybucję, a w gazecie rządowej ogłoszono, że, jeśliby inni z parafian postępowali jak gmina Swory, natenczas utracą znaczenie, jakie mają w gminie i ukarze się ich przywną. Przez wiele tygodni nie widziałem żony i nie wiedziałem, co się dzieje. Pewnej nocy jakieś indywiduum głośno płaczące zamknięto w sąsiedniej celi, a mnie się wydawało, że do więzienia wtrącono mą żonę, co mnie zdenerwowało.

Raz przyszedł do mnie naczelnik więzienia, Polak. Otrzymał on przed laty posadę dyrektora w Białej, gdzie go więźniowie szanowali, potem przeniesiono go do Siedlec. Chodząc po korytarzu, zbliżył się do okienka mej celi i rzecze: „Może ksiądz chce przejść się? Proszę do kancelarii". Zgodziłem się na to. Gdy byłem już tam, odezwał się tak: „Po co opierać się władzy? Dać im deklarację jakiej żądają, a potem tak się urządzić, żeby sobie uciec za granicę. Nad księdzem już dawno wisiało nieszczęście i oto w tych szafach co tu stoją, są księgi, w których jest wasze nazwisko notowane". Gdy wspomniał o powstaniu, rozwiązał mi się język i zapytałem go, czy nie ma w tych księgach wzmianki o dzwonach cerkiewnych w Sworach, o studni w lesie wysokopiennym Floria i o zdarzeniu z kartką w więzieniu. Potem powiedziałem, że radbym zwolnić się na parę dni dla załatwienia ważnej sprawy. Gdy nalegał, abym mu powiedział, o co chodzi, doznałem ogromnego bólu w okolicy serca, wskutek czego zaniemówiłem. Naczelnik zapytał, co mi się stało. A ja na to: „Kolka ukłuwszy mnie, powiedziała, że pan jesteś szpiegiem". Odrzekł: „Za późno przyszedłeś do rozumu. Proszę odejść do celi!"

Drugiego dnia o północy pojawił się Kaliński. Powiada do mnie: „Co tu ksiądz nagadał na samego siebie? Czy nie wiesz, że ściany mają też uszy?" Powiadam na to: „Mnie się zdaje, że nikomu nic nie mówiłem, może w przystępie jakiego szału ze ścianami rozmawiałem. Nic nie pamiętam. Kaliński wezwał naczelnika, a ten zeznał przeciw mnie. Wtedy objąłem go za szyję, ucałowałem i zapytałem: „Czy coś podobnego mogłem powiedzieć? Chyba, że byłem w gorączce". Kaliński nie mógł wytłumaczyć sobie sprawy i powiedział: „Jak Boga kocham — to wariat". A ja sobie pomyślałem: „To dobra rzecz!" Śmiejąc się śmiechem obłąkanego przybliżam się do Kalińskiego, który się odsuwa i krzyczę: „Czego Pan chce, może deklaracji ode mnie?!" Naprawdę — obaj się zlękli. Uchodzili za drzwi, a ja pędziłem za nimi. Strażnika nie było pod drzwiami, kiedy go zaś wezwano, dostał „głośne karkobicie" i wtedy wepchnąwszy mi nogę, drzwi zatrzaśli.

Rozeszła się po diecezji wieść, że zwariowałem. Ale przed tą sceną przysłali mi do więzienia człowieka, który mnie usiłował do prawosławia nakłonić. Puściłem go z kwitkiem. Gubernator ściągnąwszy protokół z zarządcy więzienia, chciał mieć więcej świadków i dlatego do mnie jako do obłąkanego dano na noc jakiegoś więźnia, ale on widać nie mając wskazanej misji, ułożył się spać na ziemi. Pamiętam, że chciałem coś do niego mówić i niezawodnie byłbym głupstw nagadał, bo przecież tej pamiętnej nocy krzyk nasz wszystkich zaalarmował. Na następną noc przysłano mi innego, który powiedział, że miał odsiadywać karę za pobicie, ale przeznaczono go tu na noc z warunkiem, aby uważał na księdza. A ja wtedy począłem mówić kazanie. I przemówiłem do — ściany. Podobało mu się to. Potem znowu wygłaszałem naukę tak długo, aż usnął. Rzuciłem się na śpiącego i rzekłem: „Wiesz ty co? Ja ci powiem. Jutro będziesz wezwany do komisji śledczej i każą ci zeznawać, co ci w nocy mówiłem. Zlituj się i nie potępiaj mnie". A on na to: „Ksiądz mnie nie zna i nie dziwię się, że mnie o to podejrzewać może. Do zdrady nie jestem zdolny i na to dam jutro księdzu głośno odpowiedź". Następnego dnia rano, strażnik otworzył drzwi i polecił więźniowi iść na śniadanie, dodając, że potem ma iść do komisji śledczej. Po dwu godzinach usłyszałem krzyk i te słowa: „A to dobre!... Dali mnie na szpiega do księdza. Oburzyłem się na żądanie ode mnie jakichś zeznań i dodałem, że ksiądz mówił ładne kazanie".

W kilka dni potem przyjechał ojciec mój ze Żdzannego. Kiedy stanął przed gubernatorem z prośbą, aby mnie jako wariata mógł odwiedzić, ten powiedział: „Idźcie zobaczyć. On z nas wszystkich wariatów porobił, a że ksiądz takiego syna wychował, nie dostaniesz ani szeląga emerytury". Ojciec przyszedł do mnie do więzienia. Byliśmy sami. Powiedziałem, że jestem zdrów i niech się ojciec najmniejszej rzeczy nic obawia. Wkrótce potem ojciec odjechał...

Już grudzień, a ja z żoną nie mogę się widzieć. Gubernator chcąc żonie mej dokuczyć za sprowadzenie parafian do Siedlec, odprawił ją do domu, żona jednak inaczej pomyślała i pojechała do Warszawy, gdzie przebywała jej siostra stryjeczna Karolina. Osoba ta wysoko wykształcona udzielała nauki języków obcych wielu osobom. Kiedy żona oznajmiła jej w jak strasznym znajduje się położeniu, że ja jestem jeszcze dotychczas w więzieniu chory i żyję więzienną strawą, zacna ta i energiczna osoba rzecze do mej żony: „My go dziś uwolnimy. Sidorski, który ma w rękach sprawę twego męża, jest codziennym gościem u Zosi Piotrowskiej, córki zamożnego obywatela z Litwy. Zdaje się, że Sidorski chce starać się o nią. Więc plan niezły. Zamienimy role. Ja będę żoną ks. Sieniewicza, a ty Karoliną Welinowicz". Żona nauczyła się rolę odgrywać; pojechały do biura Sidorskiego. On je przyjął uprzejmie, a moja niby żona przemawiając do niego po polsku, spojrzała z ukosa na sąsiadkę. Widać wpadła mu w oko i pyta (Sidorski): „Gdzie jest siostra Pani, czy razem mieszkacie? Ja męża doskonale znam, jeżeli chory, zatelegrafuję do Siedlec, aby mu dawano lepsze jedzenie i aby co dzień przechadzał się przez parę godzin po podwórzu pod wartą. Co mi na tym zależy, żebym go jednego więził, gdy tylko on jeden z całej diecezji przebywa w więzieniu. Pragnę go uwolnić, czekam tylko sposobniejszej chwili, ale obecnie nic uczynić nie mogę. Proszę przeczytać raport, jaki o nim napisał gubernator i jakiej żąda kary na niego. Oto tekst: „Ksiądz S., który sam się oskarżył z różnych rzeczy, jakie poczynił w powstaniu, należy do ludzi skrajnych tak w politycznym jak religijnym znaczeniu. Należy pozbawić go kapłaństwa i razem z żoną i rodziną zesłać na Sybir jako osiedleńca". I powiada Sidorski: „Cóż ja mogę uczynić przy takim raporcie? Łaskę mu wyświadczam, że takiego protokółu nie oddaję do potwierdzenia"... Zostawił nadzieję, że o zmianę losu mego na korzyść starał się będzie.

Po pożegnaniu się ze Sidorskim powiada Karolina: „Mamy jeszcze czas. Pojedziemy do Piotrowskiej. Tam na nią natrę, aby zmusiła Sidorskiego do uwolnienia Milunia... Teraz znowu jesteśmy każdą w swej osobie".